

# Wrażenia z Anglii



WACŁAW SIEROSZEWSKI

# Wrażenia z Anglii

## ANGLIA. PEN CLUB

Pen Club jest organizacją literatów całego świata. *Pen* znaczy po angielsku „pióro”, lecz nazwa „Klub Pióra” powstała jedynie dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, że składają się na nią inicjały trzech rodzajów twórczości: *poets, essayists, novelists*<sup>1</sup>, wchodzących w zakres organizacji. We wszystkich prawie państwach europejskich, za wyjątkiem Rosji Sowieckiej<sup>2</sup>, utworzyły się kluby pod tą nazwą i połączyły w ogólną federację z centralą w Londynie. Poza Europą istnieją Pen Kluby w Ameryce (Kanada, Stany Zjednoczone) i Azji (Japonia, Indie).

Powstał Pen Club zaraz po wielkiej wojnie<sup>3</sup>.

Założycielką Pen Clubu jest wielce zasłużona *miss* C. A. Dawson-Scott. Prezesem federacji jest obecnie J. Galsworthy<sup>4</sup>. Każdy kraj ma swego przedstawiciela w Radzie Centralnej. Jest to przedstawicielstwo honorowe, gdyż życie organizacji skupia się w klubach poszczególnych, zbiorowe zaś zagadnienia rozstrzygane są na zjazdach, odbywających się co rok w innym państwie<sup>5</sup>.

Istnieje jeszcze jeden zwyczaj służący za więź między organizacjami, mianowicie: co miesiąc londyńska centrala Pen Clubów wydaje obiad, na który zaprasza kolejno przedstawicieli sfederowanych związków. W 1927 roku zaproszono Polskę. Było to już trzecie z rządu zaproszenie, lecz pierwszy z zaproszonych, założyciel polskiego Pen Clubu, Stefan Żeromski<sup>6</sup>, zachorował i umarł, następca jego, J. Kasprówicz<sup>7</sup> również umarł. Musiałem jechać ja, który w tym czasie zostałem wybrany na ich miejsce.

Wyznaję, iż zaproszenie zaskoczyło mnie, musiałem zawiesić rozpoczęte prace literackie, ale odmowa lub dalsza zwłoka były nie do pomyślenia.

W końcu lutego znalazłem się w Londynie. Oznajmiono mi, że 1 marca o godzinie 6 wieczorem w salach Garden Clubu odbędzie się uroczysty bankiet. Ubrałem się we frak i pojechałem w oznaczonym czasie, ale spóźniłem się cokolwiek, gdyż szofer, korzystając z mojej nieznamości Londynu, woził mnie dość długo dookoła. Kiedy nareszcie przybyłem, sala była już pełna pań i panów w wieczorowych strojach.

— Nie będzie już czasu na rozmowy i zaznajamiania się!... Idziemy zaraz do stołu! — oznajmił mi Mr<sup>8</sup> Stephen Graham, który przewodniczył w zastępstwie J. Galsworthy'ego. Ten ostatni podróżował po Południowej Afryce.

Posadzono mnie tuż obok *chairmana*<sup>9</sup>, między dwiema paniami, z których jedna była przesliczną brunetką, a druga uroczą Polką, żoną bogatego angielskiego kupca.

<sup>1</sup>*poets, essayists, novelists* (ang.) — poeci, eseści, powieściopisarze. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*sowiecki* — rusycyzm; ros. *советский* (wym. sowieckij) oznacza po polsku: radziecki (związany z działaniem rad; tu: rad robotniczych); *Rosja Sowiecka*: popr. Rosja Radziecka. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*wielka wojna* — I wojna światowa (nazwa używana do wybuchu II wojny światowej). [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*Galsworthy, John* (1867–1933) — brytyjski powieściopisarz, autor trylogii powieściowej *Saga rodu Forsythe'ów*, laureat Nagrody Nobla (1932). [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*zjazdach, odbywających się co rok w innym państwie* — zjazd taki odbył się w Warszawie w czerwcu 1930 roku. [przypis autorski]

<sup>6</sup>*Żeromski, Stefan* (1864–1925) — prozaik, dramaturg, publicysta; współtwórca i pierwszy prezes Związku Zawodowego Literatów Polskich, w 1924 założył oddział polskiego Pen Clubu. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*Kasprówicz, Jan* (1860–1926) — polski poeta, dramaturg, krytyk literacki i tłumacz. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*Mr* (ang.) — skrót od *mister*: pan. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*chairman* (ang.) — przewodniczący. [przypis edytorski]

Po jakimś czasie zaczęły się przemówienia. Pierwszy przemawiał Mr Graham jako *chairman*. Przedstawił mnie zebranym, mówił o znaczeniu polskiej literatury, przy czym pomieszał nas z literaturą rosyjską, wtrącając nazwiska Tolstoja i Dostojewskiego<sup>10</sup>! Mieli jeszcze inni przemawiać, lecz Mr Graham, zapoznawszy się ze streszczeniem mego przemówienia, głosu nikomu nie udzielił.

— Według naszych zwyczajów każda mowa trwać powinna najwyżej pięć minut. Przygotowane przemówienie naszego gościa jest trzy razy dłuższe, wobec tego nie starczy czasu na inne!...

Chciałem się zrzec przemówienia, ale chórem ozwały się głosy:

— Prosimy!... Bardzo prosimy!

Ostrzegano mnie, żebym nie mówił zbyt poważnie i patetycznie, że w Anglii na wystąpieniach „zastolnych” to nieprzyjęte. Przystosowałem się o ile możliwości do tych wskazówek i powstawszy z miejsca, zacząłem czytać:

*Mister Chairman!*

Szanowni koledzy, panie i panowie!

Uśmiech jest rzeczą tak rzadką na twarzy ludzi powojennych, że samo wywołanie go jest już, doprawdy, pewną zasługą. Mam nadzieję, że moja angielska wymowa wywoła go nieraz na wasze, panowie, usta. Zapewniam was jednak, że język angielski jest równie trudny dla Polaka, jak polski dla Anglika, że pod tym względem panuje zupełna demokratyczna równość. Trudności porozumienia nie mogą nas zrażać, gdyż dążność do zjednoczenia się kultur i ludów nie tylko jest zgodna z duchem czasu, lecz nawet zalecana mocno przez Ligę Narodów<sup>11</sup>. Mówiono wielokrotnie, że Pen Club jest Ligą Narodów w dziedzinie myśli, więc choć przemawiam do mistrzów stylu, liczę na ich pobłażliwość i nie wstydzę się moich niezgrabnych zwrotów. Jestem pewny, że każdy z panów ubierze w lot moją szarą i niemrawą myśl w najcudniejsze barwy swojej wyobraźni.

Opuszczam jednak skwapliwie dziedzinę ogólników, graniczącą blisko z niebezpieczną sferą polityki, i przechodzę do rzeczy, która spodziewam się, że zjednoczy nas wszystkich, gdyż grozi naszemu zajęciu — literaturze. Jest nią technika. Nie jestem jej wrogiem. Owszem, przybyłem z przyjemnością do Anglii koleją i parowcem i raduje mnie myśl, że mogę ją opuścić aeroplanem<sup>12</sup>, nawet w czasie marcowych wiatrów. W istocie powinienem był przyjechać konno, jak jeden z muszkietierów Dumasa, gdyż niedawno jeszcze miałem zaszczyt służyć w Legionach Piłsudskiego.

Byłaby to bez wątpienia bardzo przyjemna i pouczająca przejażdżka, ale cokolwiek... przydługa. Kraj nasz nie leży wprawdzie w Małej Azji, jak to twierdził pewien wszechświatowej sławy dyplomata, lecz, bądź co bądź, z Warszawy do Londynu jest około 1000 mil angielskich<sup>13</sup>. Przebyłem je przez Berlin, Ostendę, Dover w 36 godzin. Jest to podróż wygodna i bardzo krótka, lecz jakże drogo za te jej zalety płaci nasza wyobraźnia! Ile omija nas w ten sposób wesołych przygód, interesujących spotkań, ponętnych uśmiechów, nieoczekiwanych znajomości, jakie były udziałem dawnego jeźdźca albo pasażera dylizansu! Ile ślicznych krajobrazów, wschodów i zachodów słońca, burz, śnieżyc, ciszy słonecznego południa wchodziło przez oczy nasze do duszy naszej w ciągu tej tygodnie trwającej przejażdżki, aby wyobraźnię naszą na życie całe zapłodnić nieprzebranym bogactwem barw, kształtów i uczuć!... Dziś mocna klatka kolejowego wagonu łączy nas z ludźmi, którzy nie chcą i nie mogą być dla nas zajmujący w ciągu kilku wspólnych godzin

Podróż, Przemiana,  
Przemijanie

<sup>10</sup>Tolstoj i Dostojewski — klasycy literatury rosyjskiej, przedstawiciele realizmu: Lew Tolstoj (1828–1910) oraz Fiodor Dostojewski (1821–1881). [przypis edytorski]

<sup>11</sup>Liga Narodów — międzynarodowa organizacja powołana po I wojnie światowej w celu współpracy międzynarodowej i utrzymania pokoju na świecie; rozwiązana po powstaniu ONZ. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>aeroplan (przestarz.) — samolot. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>mila angielska — dawna miara odległości równa ok. 1,6 km. [przypis edytorski]

kolejowej nudy. Krajobraz przewija się przed szybą naszego *coupe*<sup>14</sup> z szybkością i mglistością kinematograficznego obrazu. Tyle go i widzimy!

Taką jest podróż współczesna — owa po wsze czasy najbardziej życiodajna karmicielka literatury! Ale technika i w wielu innych dziedzinach dąży nieustannie do pozbawienia nas bezpośredniego zetknięcia się z przyrodą, zmusza do zastąpienia jej podnietami sztucznymi, jak sporty, widowiska, charlestony<sup>15</sup>, gazety, polityka... Z kolei przechodzę do bezpośredniej, współczesnej techniki literackiego tworzenia. Jakże bardzo zmieniła się ona w ostatnich czasach! Jakże daleko od nas te miłe chwile, kiedy to w skupieniu siadaliśmy przed rozłożonymi na stole ćwiartkami białego papieru i czekali w rozkosznym podnieceniu natchnienia, maczając wielokroć pióro w kałamarzu! Jakże przyjemnie było w chwilach namysłu rysować na marginesie rękopisu główki naszych bohaterów, karykatury bohaterów, opisywane widoczki, ba, całe sceny naszej przyszłej powieści!... Dziś bębni się na piszącej maszynie, jak na fortepianie. Grzmi i pędzi wszystko niby pociąg kurierski... Zanim się człowiek opatrzy, już nowelka albo powieść skończona... Pozostaje: szum w głowie, niesmak w duszy jak po zbyt pośpiesznym flircie... Co jednak robić?! Czy można pozwolić sobie na cnotliwą, starodawną powolność?! Co powiedzą wydawcy, którzy nie tylko żądają rękopisów pisanych na maszynie, lecz wymagają, aby powieść zawsze była świeżutka jak poranna buleczka, ciepła jeszcze i cała woniejąca podmuchami współczesności. A publiczność?... Czyż nie kręci nosem na trąące myszką szpargały? Ona potrzebuje bohatera lotnika, nurka podwodnego, widma zaświatowego, wreszcie złodzieja nadzwyczajnego albo mordercy używającego gazów trujących... A bohaterka? Bohaterka musi być tak nadzwyczajna, że ja nie śmiem nawet o niej mówić w tym poważnym gronie. Sam opis jej toalety wymaga całego słownika technicznych wyrażań, o których my, starodawni pisarze, pojęcia nie mamy... Cóż dopiero opisanie jej uczuć? To zupełnie coś innego niż opisanie wdzięków brunetki albo blondynki, tak dobrze znanych nam od wieków! Ale gorzej jeszcze, że coraz częściej żądają od nas opisywania duszy maszyny albo namiętności tłumu, tego wielogłowego współczesnego sfinksa<sup>16</sup>!... A wszystko zgodne być musi w dodatku z wymaganiami i upodobaniami Jej Królewskiej Mości Demokracji!... I ma być to zrobione galopem, w mgnieniu oka, na tej strasznej, piszącej maszynie. Mówią nam w dodatku, że to dopiero początek, że wkrótce i maszyna pisząca zostanie odrzucona jako stary rupieć! Książki, papier, atrament, nawet wydawcy znikną (miliard dolarów oszczędności)! Autorzy przemawiać będą przez fonografy<sup>17</sup>, mikrofony. Czytelnik zamieni się w słuchacza. Zniknie alfabet, a z nim razem współczesne szkoły (nowe miliardy oszczędności)... Zamiast szaf bibliotecznych pojawiają się guziczki i słuchawki... Znikną biblioteczne myszy i biblioteczny kurz... a ośle uszy zużytych książek zostaną zastąpione przez ochrypłość głosów i zgrzyt zużytych błon... Znikną miłe tomiki w skórzanej lub płóciennej oprawie! Znikną ilustracje — zastąpi je teleradio... Zniknie, rzecz prosta... wydawca, a z nim tak miła sercu literata... zaliczka! Styl wyparty zostanie przez *timbre*<sup>18</sup> i modulację głosu. Autorzy upodobnią się do śpiewaków. Przewiduję, że rozwój literatury tego rodzaju pójdzie jeszcze dalej i zwykłą koleją rzeczy światowych wróci do tych literackich pierwocin, jakie widziałem wśród dzikich plemion dalekiej Azji. Tam, aby wyśpiewać epos, zbiera się przed słuchaczami cała gromada artystów, jeden śpiewa głosem bohatera, dziewczyna naśladuje bohaterkę, druga czarny charakter, inny

Literat, Czas, Maszyna,  
Przemiana

<sup>14</sup>*coupe* (fr.) — przedział w wagonie kolejowym. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*charleston* — taniec towarzyski, popularny w latach 20. i 30. XX wieku. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*Sfinks* (mit. gr.) — skrzydlaty potwór o głowie kobiety i tułowi lwa, zadający zagadki i pożerający tych, co nie umieli na nie odpowiedzieć; symbol tajemniczości, przenośnie: zagadkowa istota. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*fonograf* — pierwsze urządzenie do mechanicznego nagrywania i odtwarzania dźwięku, wynalezione w 1877 przez Thomasa Edisona; zastąpione przez gramofon. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*timbre* (fr.) — tembr: charakterystyczna barwa dźwięku, głosu. [przypis edytorski]

znowu opowiada przebieg wypadków, jeszcze inny opisuje krajobraz, udaje szum lasu, bełkot wody, grzmot pioruna... Są tacy, co w odpowiedniej chwili świergocą jak ptaństwo albo ryczą jak zwierzęta dzikie... Niemalą rolę odgrywa ten, co naśladuje konia bohatera... Jeżeli podobne metody zostaną wprowadzone do współczesnej powieści i rozpowszechnione za pomocą radio-głosu i radio-wzroku, autor zejdzie do roli mniej lub więcej zdolnego reżysera kinematograficznego... A wtedy Muza Poezji zniknie z Parnasu, a raczej obetnie włosy, przebierze się w krótką sukienkę i zmieni zajęcie — zostanie artystką kinematograficzną...

Kiedy podobne myśli przychodzą do głowy, podchodzę do zwierciadła, przyglądam się moim białym włosom i mówię sobie z radością: „Jakże dobrze, że już wtedy mnie nie będzie!”

Obecnie jednak, dopóki telewizja nie zamieniła miłych jak ten bankietów na obcowanie cieniów, cieszę się, iż mogę rzeczywistym winem wnieść w ręce współczesnych pisarzy angielskich zdrowie, starej, wesołej Anglii.

Słuchano mnie bardzo uważnie, a stłumiony śmiech w paru odpowiednich miejscach upewnił mnie, że pomimo mojej złej wymowy zrozumiano mnie bardzo dobrze. Przemówił jeszcze ktoś już bardzo krótko, po czym przeszliśmy do sąsiedniego salonu, gdzie podano czarną kawę. Potoczyła się ogólna rozmowa, otoczono mnie ze wszystkich stron, zasypano zapytaniem, zaczęto zapraszać uprzejmie na *five o'clock*<sup>19</sup> i obiady. Najdłużej jednak i najnatarczywiej interpelował mnie pewien wygolony i chudawy pan o specjalnie angielskim wyglądzie.

— Pan wspomniał, że pan był ułanem. Czy to ma znaczyć, że Polacy lubią konie?

— Mój naród od wieków był narodem jeźdźców! — odpowiedziałem.

— A jakie macie konie?

— Koni mamy teraz mało, gdyż dużo wyginęło w czasie wojny, a jeszcze więcej wprowadzili do siebie Niemcy.

— Czy to były prawdziwe konie, bo ja słyszałem, że w Polsce są tylko kucyki (*pony*).

— Nasze włościańskie<sup>20</sup> koniki są małe, ale mamy i rosłe, bardzo dobre robocze konie. W przeszłości mieliśmy piękną rasę własnych koni bojowych, szybszych i zwinniejszych od północnych koni niemieckich, lecz cięższych i wytrzymalszych od koni tureckich i arabskich, od których pochodziły. Taka odmiana była potrzebna dla naszej husarii.

— Aha, słyszałem, słyszałem: skrzydlaci jeźdźcy — przerwał mi Anglik słuchający z wielką uwagą. — Teraz jednak tej rasy nie ma?

— Tak, nie ma. Staramy się jednak wyhodować własną odmianę.

— To niełatwo, Anglicy musieli setki lat...

— Zapewne. Ale macie teraz najlepsze wyścigowe konie na świecie.

— Nie tylko wyścigowe. Mamy w ogóle najlepszych jeźdźców i najlepszy sport koński.

Sportmeński zapał mego rozmówcy rozśmieszył mnie trochę, zapragnąłem go nieco podrażnić.

— Zgoda, macie najlepsze konie, ale jeźdźców najlepszych mamy my! — odrzekłem stanowczo. Efekt był nadzwyczajny, dżentelmen cofnął się o pół kroku.

— Co! Pan chyba nie widział naszej jazdy?! Zapraszam pana na przyszłą jesień do siebie na polowanie na lisy! — dodał z pewną wyniosłością i podał mi swój bilet wizytowy.

Na karcie odczytałem utytułowane nazwisko, londyński i prowincjonalny adres. Rozstaliśmy się bardzo... bardzo przyjacielsko.

Taka była moja najdłuższa rozmowa na penklubowskim bankiecie w 1927 roku. O literaturze nikt tam wtedy nie mówił; było to zebranie wyłącznie towarzyskie, na którym wydało mi się, że unikano nawet literackich tematów.

Jakże inny był bankiet w Oslo w dwa lata później. Jakże się zmienił w miarę rozrostu sam charakter Pen Clubu. Stał się on istotnie „literacką Ligą Narodów”, gdzie poważnie roztrząsane są na zjazdach ogólnych doniosłe sprawy międzynarodowych literackich

<sup>19</sup>*five o'clock* (ang.: godzina piąta) — spotkanie towarzyskie o piątej po południu; podwieczorek. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*włościański* (daw.) — chłopski. [przypis edytorski]

stosunków, poszukiwane jest sprawiedliwe stosowanie praw autorskich oraz zawisłych i niezmiernie trudnych zagadnień przekładowych.

Zjazd w Warszawie w roku bieżącym był ogromnym krokiem naprzód w tych kwestiach.

Wyznaję, że w Londynie zdziwił mnie trochę aliteracki charakter penklubowskiego bankietu.

— Czy to zawsze tak? — zapytałem.

— Prawie zawsze — odpowiedziano mi. — O sztuce i literaturze usłyszy pan na *five o'clockach* lub na *lunchach* prywatnych; tam gdzie pan może nagadać się i nasłuchać, ile pan będzie chciał, ale na bankietach publicznych Anglicy unikają wszystkiego, co mogłoby wywołać jakąkolwiek dyskusję lub rozdrażnienie.

Istotnie, na *five o'clockach* słyszałem dużo rozmów o sztuce i literaturze, spotkałem dużo wybitnych i ciekawych ludzi. Między innymi była na jednym księżna Bibesco<sup>21</sup>, bardzo miła, przystojna blondynka, autorka słynnej powieści, gdzie tak złośliwie odmalowała Polaków. Przyglądała mi się równie pilnie, jak ja jej, lecz nie mieliśmy ani ochoty, ani sposobności porozmawiać.

Na tych wszystkich dość licznych przyjęciach i zabraniach towarzyskich uderzyła mnie stała obecność Niemców; byli to zwykle bardzo elegancko ubrani to starsi, to zupełnie młodzi panowie, gładcy, mówiący doskonale po angielsku, którzy zostawali do samego końca zebrani i na ostatku zęcnie skupiali dookoła siebie powszechną uwagę. Wszystko wiedzieli i o wszystkim mówili. Zachwycała mnie wprost ich natarczywość i zęcność propagandowa. Zauważyłem ją później i w Ameryce.

Z rozmów o literaturze utkwiły mi w pamięci najmocniej rozmowy z panem Drinkwater<sup>22</sup>, znanym autorem *Lincolna* oraz z panem John M. Murry, niezmiernie miłym i subtelnym redaktorem miesięcznika „The Adelphi”. W obu wypadkach towarzyszył mi p. F. Sobieniowski, a przedmiotem rozmowy było rozbicie i zanarchizowanie powojennych prądów literackich na całym świecie.

Pamiętam zdanie wygłoszone w końcu przez p. Murrya:

— Trudno, literatura musi być odbiciem życia! Długo więc pewnie będzie odtwarzać poszukiwanie ideałów i tęsknotę za tradycją, rozbitymi i zatraconymi w czasie wielkiej wojny.

— Długo będzie chora na niemoc syntetyczną! — zauważyłem z melancholijnym uśmiechem.

Londyn, 6 marca 1927

Czy można porwać się na opisywanie Londynu po parotygodniowym w nim pobycie? Samo postawienie kwestii wydaje się dziwne i śmieszne. Potworne miasto, mające tyle prawie ludności, co połowa Czechosłowacji, drwi sobie pod tym względem z ludzkich wysiłków. Setki pisarzy, tu urodzonych, w ciągu setek lat obierały go sobie za przedmiot twórczej wizji i nie wyczerpały jego treści. I wciąż jeszcze Londyn pod piórem powieściopisarzy i nowelistów zdradza nie tylko tajemnice naradzających się nowych duchowych powikłań, lecz otwiera przed oczami własnych mieszkańców, odbite w zwierciadłach poetów, czarujące i nieznanne piękno jego miejskiego krajobrazu... Nawet mgły i deszcz mają tu swój urok i swoją patetyczność, gdyż z nich to rodzą się te nieuchwytnie, często niezrozumiałe dla innych Europejczyków, drgania radosne lub bolesne duszy angielskiej.

Dwa tylko miasta świata: Pekin i Nowy Jork — dorównywują mu ogromem i bogactwem, Są to zaiste trzy „Malströmy”<sup>23</sup> ludzkiego życia, oszalałaiące potęgą swego ruchu i swej różnaitości. Ale jakże są różne! Pekin — płaskie jak morze — mrówcze rojowisko ludzkie, błękitno-złote, pstre, krzykliwe, zmieszane, przelewające się z niesamowitym szumem wśród starych i wysokich jak złomy skalne murów i bram. Z oceanu szarych,

<sup>21</sup> *Bibesco, Marta* (1886–1973) — rumuńska arystokratka i pisarka tworząca po francusku; autorka m.in. powieści *Catherine-Paris* (1927), o nonkonformistycznej rumuńskiej księżniczce mieszkającej w Paryżu, która zostaje żoną potomka starej polskiej rodziny książęcej. [przypis edytorski]

<sup>22</sup> *Drinkwater, John* (1882–1937) — angielski poeta i dramatopisarz; autor m.in. dramatu *Abraham Lincoln* (1918). [przypis edytorski]

<sup>23</sup> *Malström* — silny prąd morski, któremu towarzyszą wiry wodne, występujący na Morzu Norweskim u wejścia do fiordów i cieśnin. [przypis edytorski]

niskich dachów wylaniają się tu i ówdzie wysoko oddzielne szczyty świątyń i pagód<sup>24</sup>, rzeźbione przedziwnie i błękitne z oddali jak tatrzańskie turnie...

Nowy Jork — szczególnie jego dzielnica „drapaczy nieba”<sup>25</sup> — to jakies ludzkie Himalaje, zuchwałe, młodzieńcze wyzwanie, rzucone żywiołom i niebiosom przez tłumy ludzi, pędzących spienionym potokiem szczelinami zbudowanych przez siebie ulic, wczoraj jeszcze przestronnych, lecz dziś za płytkich już dłań, za ciasnych...

Miasto

W Londynie nic podobnego. Ludzka rzeka płynie nurtem nie mniej obfitym i potężnym, lecz bez śladu burzliwości i niepokoju. Nawet w czasie obiadowej przerwy albo wieczorem po skończonym zajęciu, kiedy tłumy pracowników wylewają się z biur i warsztatów, kiedy *tuby* (podziemne koleje) i *bussy* (omnibusy<sup>26</sup>) przepelnione są spieszącymi do domów rzeszami, nie ma tłoku, nikt tu nikogo nie potrąca, nie popycha, chociaż czuć, że każda minuta jest tu dla pracownika droga. Samochodów dużo; jeżdżą szybko i nie trąbią, a mimo to mam wrażenie, że wypadków tu o wiele mniej niż w New Yorku, ba, może nawet mniej niż w Warszawie. Wszędzie czuje się niezmierną, mocno gruntowaną organizacyjność życia, która bez przeszkód i przerw narastała spokojnie w ciągu stuleci. Napisy na rogach ulic, na stacjach, na wirzyskach miejskiego ruchu, jak Piccadilly, Oxford Circus, Trafalgar sq., City itd. — dokładne, ale bez niemieckiej gadatliwości, pozwalają doskonale orientować się w kierunkach i korzystać z wszelkich rodzajów komunikacji nawet świeżo przybyłemu do Londynu podróżnikowi. W kłopotliwej chwili zawsze może udać się do policjanta, który choć bardzo zajęty kierownictwem ulicznego ruchu, nie omieszka dać żądanych wskazówek i nawet zaopiekuje się pytającym w razie potrzeby. Również zapytani o wskazówki przechodnie dają odpowiedzi szczegółowe, nie zdradzając najmniejszego zniecierpliwienia. Na wszystkim leży pewien odcień solidności i dżentelmeństwa. Wszystko czynione jest z równomierną, nieprzymuszoną energią, ale bez pośpiechu. I to działa jakoś kojąco na wytrąconego z równowagi lub zmąconego obcością środowiska przybysza. Nawet architektura Londynu jest jakaś spokojna. Domy po większej części niewysokie, dwu- lub trzypiętrowe, uderzają rozmiarami i mnogością okien. Od razu się czuje, że poza tymi ogromnymi szybami musi być jasno, wesoło, a w słoneczne dni... słoneczno i przytulnie. Wielka ilość oszklonych wykuszy potęguje to wrażenie „siedlisk gniazd rodzinnych”, obserwujących „ulicę” z oddala i ukrycia.

Miasto

Tak było dawniej, ale już być przestaje. Podobno dawne liczne rodziny angielskie są coraz rzadsze. Podobno przyrost ludności jest coraz mniejszy, ba, niektórzy mówią, że na ogół mniejszy niż we Francji i że zaludnienie trzyma się na stałej wysokości jedynie dzięki znacznemu zmniejszaniu się z roku na rok śmiertelności.

Nie przypuszczam, aby powodem słabej rozrodczości był niedostatek; nie znać tego; nie jest nią również francuska oszczędność... Na dnię więc tego zjawiska leżą jakieś głębsze, uczuciowe i duchowe pobudki, których tak trudno dociec, gdyż są ukryte w duszy angielskiej, zamkniętej na siedem często spustów nawet dla najbliższych, a często zamkniętej nawet... dla siebie samej.... jak twierdzi Galsworthy, jeden z najlepszych znawców psychologii angielskiej.

Czyni to badanie życia Anglików we wszystkich dziedzinach rzeczą niezmiernie zajmującą, szczególnie, jeżeli ma się poczucie, że rozwiązują się tu teraz zarówno polityczne, socjalne, jak i moralne problemy dotyczące przyszłości nie tylko Anglii, ale i całego świata.

W dzielnicy robotniczej

— Dziś mgła, ale mgła *mist*, którą można wytrzymać. Kiedy zaś przyjdzie mgła *fog*, od niej każdy dostaje spleenu<sup>27</sup>, gdyż nie widać już nic na długość wyciągniętej ręki...

Natura

<sup>24</sup>*pagoda* — azjatycki budynek sakralny o wielu kondygnacjach zaznaczonych z zewnątrz wystającymi daszkami. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*drapacz nieba* (ang. *skyscraper*) — drapacz chmur, bardzo wysoki wieżowiec, wysokościowiec. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*omnibus* (łac. dosł.: dla wszystkich) — duży, kryty pojazd konny o wielu miejscach, pod koniec XIX w. powszechny jako środek regularnej komunikacji w dużych miastach Europy; poprzednik autobusów. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*spleen* (ang.) — stan przygnębienia, beznadziejności i apatii. [przypis edytorski]

Na szczęście mgła *mist* pozwala nam oglądać wspaniałą perspektywę nieskończenie długiej ulicy Egware Road, którą przebywamy na imperialu<sup>28</sup> autobusu... Ruch wielki, rośnie w miarę zbliżania się do uboższych, przemysłowych dzielnic. Jedziemy do doków, do Borough of Poplar (Okręgu Topolowego). Cały Londyn podzielony jest na samorządowe okręgi, mające osobne dzielnicowe magistraty, oraz rady miejskie, pozostające ze sobą w związku głównie przez osobę Lorda Mayor<sup>29</sup> i podwładną mu centralną magistraturę.

Poplar leży na półwyspie, jaki tworzy w środku Londynu pętlica Tamizy. Po obu brzegach rzeki olbrzymie doki, ładownicze przystanie, warsztaty reperacji i budowy okrętów. Dzielnica, zaludniona przeważnie przez robotników, ma magistrat przeważnie robotniczy z Labour Party<sup>30</sup> i *mayora* również radykalnego. Byli uprzedzeni o naszym przybyciu; członek magistratu, wyznaczony nam na przewodnika, powitał nas bardzo uprzejmie, zaprowadził do *mayora*, który na chwilę oderwał się od pracy — jest małym urzędnikiem na poczcie — i przyszedł, aby nas przywitać. Przyszedł trzeci urzędnik, również były robotnik o bardzo inteligentnych, bystrych oczach, który zaczął nam dawać ściśle odpowiedzi i przytaczać cyfry dotyczące się samorządu, opieki nad robotnikami, organizacji biur pośrednictwa pracy, bezrobotnych itd. Wszyscy byli bardzo uprzejmi, ale twarze rozjaśniły im się serdecznie dopiero wtedy, kiedy od mego towarzysza dowiedzieli się, że nie tylko jestem pisarzem polskim, lecz należę do najpierwszych założycieli ruchu socjalistycznego w Polsce. Wtedy zupełnie się rozkrochmalili i z pewną nawet skwapliwością zaczęli odpowiadać o działalności ich robotniczego samorządu. Bezrobotnych w swojej dzielnicy mają dużo, coś do 20 000. Część bezrobotnych używają do robót przeważnie drogowych, brukowych, kanalizacyjnych... Przy budowlach, których wznoszą dużo, trzeba specjalistów i dlatego tak mało pracuje bezrobotnych; przeważnie robotnicy niefachowi, dniówkowi...

Robotnik

— Lepiej płacić zapomogi niż partolić robotę! — tłumaczyli. — Z początku zapomogi wydaje rząd; ale po 26 tygodniach rząd przestaje wypłacać zapomogę bezrobotnemu. Następuje paromiesięczna przerwa, podczas której bezrobotny musi starać się o ponowne wciągnięcie go na listę potrzebujących i zasługujących na wsparcie. Po nowych 26 tygodniach rząd zupełnie przerywa wypłatę zapomogi temu samemu robotnikowi i jego rodzinie. Przechodzą oni całkowicie na utrzymanie swego samorządu!

— Czy to utrzymanie jest gorsze od rządowego?

— To zależy: jeżeli w dzielnicy samorząd jest w rękach robotniczych, zapomoga częstokroć jest większa i opieka staranniejsza. Ale w dzielnicach z mniejszością robotniczą jest bezrobotnym źle, często bardzo źle!...

— Skąd czerpią fundusze dzielnice robotnicze na utrzymanie swoich bezrobotnych?

— Z podatków. Ale prócz tego utworzył się specjalny fundusz zapomogowy wskutek wyrównania przez władze miejskie centralne ogólnych podatków miejskich. Gdyż były dzielnice bardzo bogate, mające małe stosunkowo wydatki, niemające wcale bezrobotnych ani urządzeń społecznych, zamieszkałe przez ludzi zamożnych, gdzie magistraty wskutek tego mogły miejskie podatki niezmiernie obniżyć. Otóż obecnie podatki we wszystkich dzielnicach są zrównane, przewyżka dochodów nad wydatkami wpływa do Kasy Centralnej i jest używana na pokrycie niedoborów w dzielnicach biednych, obciążonych nadmiernymi podatkami, głównie na bezrobotnych, na opiekę społeczną, zdrowotność itd. Mimo to jest ciężko...

Robotnik

Istotnie, obchodząc dzielnicę, widziałem przed bramami fabryk i domów, pod ścianami wielkich składów, na rogach ulic gromadki robotników beczynnie wyczekujących na pracę, z oczami nieskończenie smutnymi, jakby zapatrzonymi w pustkę i marnotrawstwo ich istnienia, jakby wyjętych z wiru przewalającej się dokoła pracy, niby martwe glazy, sterczące wśród rzeki życia... Tragiczne wprost postacie, młode, silne i zdrowe. Zupełnie podobne do widzianych przeze mnie na ulicach Pabianic, Łodzi, Białegostoku, Warszawy...

<sup>28</sup>*imperial* — wierzch dylizansu lub omnibusu konnego z siedzeniami dla pasażerów. Terminologia odziedziczona po „karetach cesarskich” (*carrosses à impériale*), w których na górnej części umieszczone były elementy ozdobne (imperiały). [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*lord mayor* — tytuł burmistrza Londynu i niektórych większych miast Anglii. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>*Labour Party* (ang.: Partia Pracy) — brytyjska socjaldemokratyczna partia polityczna, powstała w 1900 jako federacja związków zawodowych oraz organizacji socjalistycznych. [przypis edytorski]

Samochodem magistrackim zawieziono nas przede wszystkim do kąpeli miejskich. W wielkim, ogrzonym budynku ogromny basen 50 m długi, 30 szeroki, 6 stóp<sup>31</sup> głęboki, wyłożony fajansowymi kaflami — przeznaczony do wspólnych kąpeli (osobno dla mężczyzn, osobno dla kobiet), gdzie dostaje się ręcznik, oddzielną rozbieralnię, „wszystko, prócz mydła” za 6 pensów<sup>32</sup> (dla ubogich i dzieci 2 pensy). Mogą korzystać jednocześnie z prysznicu. Woda w basenie zmieniana jest dwa razy w tygodniu i co dzień oczyszczana mechanicznie za pomocą elektryczności. Radny, który nam towarzyszył, zmusił nas do spróbowania obrzydliwego płynu, który wlewają do wody przed przepuszczeniem przez nią prądu elektrycznego. Był tą „mikszturą” zachwycony i dowodził, że ma przedziwny smak i jest bardzo zdrowa!

Prócz ogólnego basenu idą dookoła korytarza oddzielne numery z wannami. Łazienka pierwszej klasy i szylinga (dwa złote trzydzieści groszy), drugiej klasy 6 pensów (pół szylinga), trzeciej 2 pensy. Wszystko skromne, proste, ale bardzo czyste i miłe. Wszędzie jakieś ozdóbki, miejscami kwiaty. Takich kąpeli w dzielnicy jest kilka.

Stamtąd pojechaliśmy do pralni miejskich. Obejrzelśmy z początku stare pralnie, a później nowe. Obie pralnie były przepelnione starymi i młodymi żonami robotników piorącymi bieliznę. Stary system polega na praniu ręcznym w betonowych, oddzielnych dla każdej praczki korytkach. W nowych — maszyny piorą, suszą, maglują. Do prasowania są żelazka elektryczne. Robota odbywa się w nich dziesięć razy szybciej, bielizna zupełnie się nie drze, gdyż w zamkniętych bębnach, ogrzewanych parą o wysokiej temperaturze, obracających się nieustannie, nie ma żadnych mieszadeł, a bielizna przepłukiwana jest prądem gorącej wody, płynącej bez przerwy. Wyciska wodę i suszy wirówka ośrodkowa, przewiewana gorącym powietrzem. Pranie odbywa się z niesłychaną szybkością. Wejście do pralni nowej kosztuje szylinga, a każda godzina pobytu półtora pensa. W starych pralniach za wejście nic się nie płaci, a od godziny te same półtora pensa. Wszędzie obsługa przeważnie kobieca, jedynie przy maszynach mechanik, tym razem młody, ładny chłopak, który wnosi w szeregi praczek dużo wesołości. Inwalida z wojny... Dowiedziawszy się, że jesteśmy Polacy, coś tam mamrotał po rosyjsku, gdyż nauczył się parę słów w niemieckiej niewoli. Chciano nam jeszcze pokazać magistrackie piekarnie i sklepy spożywcze, lecz czasu mieliśmy mało, więc zaproponowałem, żebyśmy ruszyli przede wszystkim do domów robotniczych, które mnie interesowały najwięcej. Nasz przewodnik, zdaje się członek komitetu budowlanego, był zachwycony.

— Zobacz pan, zobaczy pan, wybudowaliśmy całe miasto! Na pustkowiach, na śmietniskach... całe miasto!... — powtarzał, wiodąc nas na kresy dzielnicy.

Istotnie, niezadługo znaleźliśmy się wśród szerokich, nowych ulic, po obu stronach których ciągnęły się szeregi bardzo podobnych do siebie ze struktury, nowych, piętrowych domków. Przed każdym prawie był ogródek. W oknach wszędzie widać franki i kwiaty. Okna duże, wewnątrz jasno, słonecznie.

— Ale zaczniemy od dużych domów, gdyż i my z powodu drożyzny placów przechodzimy do budowy dużych domów! — tłumaczył nam nasz przewodnik, zatrzymując się przed trzypiętrową, długą na paręset kroków kamienicą. W oknach również franki, rzadziej kwiaty. Zwiedzamy jedno, drugie, trzecie mieszkanie. Zawsze to samo — jeden większy pokój jadalny, jednocześnie bawialny i kuchnia zarazem. Kuchnia ukryta w wielkim angielskim kominie, gdzie w zimie wciąż musi płonąć węgiel. Pokój ten zwykle przepelniony rozmaitymi meblami, wśród których zawsze jest kredens ze szkłem i porcelaną... Wyściełane fotele, rozmaite drobiazgi na półkach, kominku, komodzie... Na ścianach sztychy i oleodruki... Ciasno w tym pokoju: przesiadują tu w wolnych chwilach przeważnie kobiety, gdyż mężczyźni, o ile nie pracują na fabryce, siedzą w klubach, na boiskach lub w domach sportowych. Tu również stoi zwykle pianino lub fisharmonia<sup>33</sup>; zastawałem dość często... rozwartę na pulpicie nuty. Mieszkania co do rozmiarów różnią się ilością sypialnych pokoi. Są takie, co mają jeden sypialny pokój, inne dwa, trzy, nawet cztery (zawsze prawie na piętrze, jeżeli mieszkanko zajmuje osobny domek). Mieszkanka składająca się z co najmniej trzech pokoików mają dodatkową kuchenkę do gotowania

<sup>31</sup>stopa — anglosaska jednostka długości, ok. 30 cm. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>pens — drobna moneta brytyjska; dawniej brytyjski funt szterling był równy 20 szylingów, zaś szyling dzielił się na 12 pensów. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>fisharmonia — klawiszowy dęty instrument muzyczny, używany zamiast organów. [przypis edytorski]

herbaty i pralnię. Mieszkanka z czterech i więcej pokoi mają prócz tego osobną łazienkę. Wszędzie składzik na węgle, zimna spiżarka, wygodka, przedpokój... Wszędzie gorąca woda, ogrzewana w palenisku kuchennym, kanalizacja, światło elektryczne itd. W sypialniach jedynie wielkie łóżko pośrodku, gołe ściany, żadnych mebli i wiecznie otwarte okno...

— W całym Londynie w ciągu trzech lat wybudowaliśmy z pomocą rządu 300 000 takich mieszkań... Teraz budujemy sami... Domy utrzymujemy w porządku z dzierżaw i z nich splacamy procenty od pożyczek oraz amortyzację. Za lat 20 domy zostaną własnością gminy. Nie sprzedajemy robotnikom nawet oddzielnych domków, gdyż to sprzeciwia się naszym zasadom, chcemy do obyczajów naszych wprowadzić własność zbiorową... Sprzedaż domów wprowadziłaby własność prywatną i zmieniła, zróżniczkowała<sup>34</sup> charakter ludności... Dziś to są sami robotnicy. Płacą za cztery pokoje z kuchnią, ze światłem i wodą 14 i pół szylinga tygodniowo (33 zł 35 gr). Jeżeli nie mają dużo dzieci lub który z synów wyjechał na zarobek i pokój mają wolny, pozwalamy go odnająć... Choć nie lubimy tego. Jeżeli ktoś nie płaci, a jest bezrobotny, potrącamy mu z wydawanej zapomogi. Pracujących, a niepłacących podajemy do sądu, ale zwykle do tego nie dochodzi. Żyjemy w zgodzie i dobrym porozumieniu, gdyż robotnicy czują, że mają w nas braci i przyjaciół. A teraz pokażę panom, jak mieszkali robotnicy przed 50 laty. Mamy jeszcze takie zabytki! — opowiadał nam przewodnik.

Zaprowadził nas do małego domku, istnej kupeczki cegły i kamieni z wąskimi jak strzelnice oknami i również wąskimi drzwiami. Wyszła na nasze spotkanie jakaś zamorusana i odrapana kobiecina. Była trochę zmieszana naszą prośbą o pozwolenie zwiedzenia mieszkania, ale interwencja członka samorządu złamała jej niechęć. Weszliśmy. Co za nora! Ciemna, zakopcona, ciasna, zapchana gratami!... Na górę, do sypialni już nas stara puścić nie chciała... Wyobrażam sobie, co tam było w tej maluchnej ciupce, jeżeli wziąć pod uwagę, że rodzina składała się z pięciu osób... Członek samorządu zdawał się być mocno zawstydzony.

— Tego już mało i niedługo wcale nie będzie. Kasujemy takie mieszkania!... — potarzał wielokroć, wyprowadzając nas na ulicę.

A przecież nieraz w gorszych o wiele mieszkaniach mieszkają polscy robotnicy. A mimo to polscy robotnicy nie starają się o wprowadzanie swoich samorządów albo je źle kontrolują, jak w Łodzi!... Kto tu winien?! — pomyślałem sobie, opuszczając dzielnicę robotniczą Londynu i żegnając się z uprzejmymi członkami robotniczego magistratu.

#### Szkoły i ochronki

Chciałem choć pobieżnie zapoznać się z niektórymi urządzeniami społecznymi, dającymi pojęcie o kierunku i stopniu zainteresowania się szerokiej publiczności angielskiej sprawami pierwszorzędnej wychowawczej wagi. Poprosiłem więc p. posła Skirmunta, zaraz przy pierwszym widzeniu, o umożliwienie mi obejrzenia londyńskich ochronek<sup>35</sup> dla najmłodszych dzieci, tak zwanych *nursery*, oraz *settlementów* dla dorosłych. Pan poseł uprzejmie się zgodził i wydał odpowiednie zarządzenia, dzięki którym natychmiast po zakończeniu uroczystości w Pen Clubie zacząłem wędrowkę po Londynie ze specjalnie wydelegowanym przewodnikiem, młodym, inteligentnym Anglikiem. Od niego dowiedziałem się, że większość takich urządzeń w Anglii stworzona została przez stare stowarzyszenia na tle religijnym, jak np. „Stowarzyszenie Przyjaciół” (*Friend Association*) itd.

Udaliśmy się więc tam. W ogromnym, nowym domu, pełnym biur, sal odczytowych i miejsc zebrań, należącym do takiego towarzystwa, bardzo starego, mającego 300 lat istnienia i bardzo bogatego dzięki nagromadzonym legatom<sup>36</sup>, uzyskaliśmy od wielce uprzejmego pana *managera* (zarządzającego) pozwolenie na zwiedzenie ochronek oraz słynnego *settlementu* Toynbee Hall.

Zaczelśmy od ochronek. Ochronki okazały się nieszczerólnie. W paru widnych i czystych pokoikach starego, ciemnego domu bawiło się kilkanaścioro dzieci od 2 do 5 lat pod

Dom, Robotnik

Dziecko, Robotnik, Matka,  
Praca, Opieka

<sup>34</sup>zróżniczkować (daw.) — zróżnicować. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>ochronka (daw.) — zakład dobroczynny zajmujący się opieką nad sierotami i ubogimi dziećmi. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>legat — zapis testamentowy dla instytucji lub osoby niebędącej spadkobiercą. [przypis edytorski]

opieką ochroniarki i służącej. Dzieci były wesołe, rumiane, zachowywały się swobodnie, żartowały ze mną, zaśpiewały mi nawet chóralną piosenkę. Dostają śniadanie i *lunch*: bułki, mleko, owoce... Po *lunchu* śpią i każde ma swoje „polowe łóżeczko”, płócienne wyrko, na niskiej podstawie — poduszeczkę i kołderkę... Mają kupkę piasku i dużo zabawek. Płaci się jedynie za pożywienie i to bardzo mało. Wszystko przedstawiało się bardzo przyzwoicie; ochroniarka była młoda, inteligentna i miła, otoczenie kulturalne... Ale nie to spodziewałem się znaleźć w bogatym Londynie! Wszystko o wiele ustępowało podobnym urządzeniom amerykańskim, gdzie w każdej dzielnicy większych miast są jeden albo dwa domki z ogródkiem, doskonale urządzone, a przeznaczone dla najmłodszych dzieci, nawet takich, że dożywiać je trzeba z faszczki. Każda robotnica, każda matka pracująca poza domem może spokojnie zanieść tam swoje dziecię i być pewną troskliwej, umiejętnej opieki... Pośrodku ogrzanej, widnej sali, w suchym basenie, otoczonym niską, wysłaną miękko balustradą, pełzają na ciepłym piasku najdrobniejsze maleństwa.

— Tu w Londynie nie ma nic podobnego. Tu matki same pilnują małych dzieci. Może gdzieś w fabrycznych miastach są dla dzieci robotnic takie zakłady... Tu, w Londynie ich nie ma... Nawet takich, jakie pan widział, jest wszystkiego w całej stolicy 12 na siedem milionów mieszkańców — śmiesznie mało, czy nieprawda? Ale my, Anglicy, uważamy, że robotnik powinien tyle zarabiać, aby stać go było na utrzymanie rodziny bez pracy żony, która i tak ma dużo w domu roboty! — wyjaśniał mi mój przewodnik.

Udaliśmy się następnie do podobnych zakładów dla dzieci ułomnych (*defective*). Utrzymywało je to samo towarzystwo, lecz w tym wypadku samorząd miejski szedł im z pomocą i pokrywał 3/4 wydatków. Wielki, również stary dom posiadał piękne boisko, ogród, obszerną zbiorową salę jadalną i szereg klas. Trafiliśmy właśnie na przygotowanie do *lunchu* z dwóch dań, prostych, ale pożywnych. Uczyły się tu dzieci „ułomne” nie w znaczeniu moralnym, lecz fizycznym, wszelkiego rodzaju kaleki: beznogie, kulawe, bezrękie, z zającą wargą, wreszcie mniej zdolne, głupawe itd. Pokazywano mi chłopaka o śmiałej, wesołej twarzyczce, którego potłukły konie i został czasowo przeniesiony tutaj ze szkoły normalnej.

— Zresztą, sam winien, bo konie drażnił... — zauważyła nauczycielka.

Uszczęśliwiony wisus wyszczerzył zęby i kiwnął mi potakująco głową. Widziałem wśród tej nieszczęśliwej dziatwy smutną parę, siedzącą na uboczu: ślepnącego chłopaka, któremu pomagał w lekcjach jego przyjaciel. Na ścianach dużo wesołych rycin, między innymi widziałem historię Anglii w humorystycznych i dowcipnych karykaturach. Myślę, iż obrazki te głębiej wbijają w wyobraźnię dziecka ważne momenty z życia jego narodu niż najdłuższe i najpatetyczniejsze opowiadania. Pokazywano mi również brzoźkę hodowaną przez same dzieci... Każde dziecko, które chce, ma swoją doniczkę lub pudełko z ziemią. A dzieci było w zakładzie około 200. Zarówno z twarzyczek dziecięcych, jak z zachowania nauczycieli wiała wesołość, swoboda i widoczna wzajemna sympatia. Dzieci były śmiałe, odpowiadały na moje pytania chętnie i z pewną dumą pokazywały mi swoje kajety<sup>37</sup> oraz rysunki... Wszystkie dzieci należały do klasy niezamożnej, sama szkoła mieściła się już w dzielnicy robotniczej i była bezpłatna.

#### Toynbee Hall

Wieczorem zwiedziliśmy Toynbee Hall, wielki *settlement* w Whitechapel — dzielnicy Londynu słynącej do niedawna z nędzy, przestępstw i brudu, zamieszkałej przez ludność robotniczą, w znacznej liczbie przez Polaków, Żydów, Chińczyków itd. Piękny, duży dom w staroangielskim stylu, założony w 1884 r. i przezwany na cześć Arnolda Toynbee, jednego z pionierów ruchu *settlementowego*, zapoczątkowanego przez Edwarda Denisona w 1850 r. Denison cieszył się wielkimi wpływami w Oksfordzie, pociągnął swym przykładem i wymową studentów tego uniwersytetu, a następnie Cambridge’u, że postanowili spędzać część lata w Whitechapelu, aby przykładem, obcowaniem, lekcjami, odczytami, sportem wpływać na podniesienie poziomu życia mieszkańców nieszczęsnej dzielnicy... Próba powiodła się. Dziś w Londynie, w całym Imperium Brytyjskim, nawet na kontynencie Europy i w Stanach Zjednoczonych istnieje dużo *settlementów*, wzorowanych na Toynbee Hallu, który nazwany jest „Macierzą *Settlementów*”. Po spełnieniu pewnych

<sup>37</sup>kajet (daw.) — zeszyt. [przypis edytorski]

formalności oraz podpisaniu się w księdze „znakomitych gości” — po przeciwnej stronie przeczytałem nazwisko panującego króla — udaliśmy się do biura „pośrednictwa pracy”. Ale biuro to miało specjalny charakter; nie tyle zajmowało się wyszukiwaniem zajęcia, gdyż tym trudnią się instytucje rządowe i samorządowe, ile pomagało radą, pośrednictwem i pieniędzmi młodzieży pragnącej doskonalić się w swoim zawodzie. Tak mi tłumaczyła sekretarka.

— Oto na przykład ma pan przed sobą... — tu wskazała na siedzącego w głębi 20-letniego robotnika — ślusarza, który chce odbyć wyższą praktykę. Od niego żądają za naukę oraz na zastaw 10 funtów szterlingów. On ich nie ma, my mu pożyczamy, z tym że po skończeniu praktyki i znalezieniu roboty będzie nam spłacał tygodniowo, odliczając pewien procent, zwykle 8 proc. od swego zarobku. Rocznie do tysiąca ludzi wspomagamy w ten sposób i nigdy nie mieliśmy zawodu ze zwrotem, chyba w wypadku śmierci. Nawet ci, co wyjeżdżali do Australii i Kanady, przesyłali nam swój procent. Każdy *settlement* ma taki dział, co bardzo wpływa na podniesienie się poziomu zawodowej pracy!

Przeszliśmy następnie do sali „tańców rytmicznych”, gdzie kilkadziesiąt dziewcząt, przeważnie robotnic i sklepowych, przy dźwiękach muzyki, pod kierunkiem nauczycielki ćwiczyło się w ruchach rytmicznych. Lekcje były bezpłatne. Uczennice musiały jedynie posiadać odpowiednie kostiumy.

Wieczereż spożyliśmy wspólnie z kilkunastoma innymi gośćmi; niektórzy z nich mieszkają w Hallu po parę miesięcy; kandydatów jest tak dużo, że trzeba nieraz długo czekać na swoją kolej. Goście dostają pokój i całkowite utrzymanie bezpłatnie, mogą jednak składać na rzecz instytucji ofiary. Wśród gości było kilka pań, paru starszych panów, jeden jakiś znany profesor. Nie są niczym krępowani i biorą zupełnie dobrowolny udział w codziennym życiu Towarzystwa.

— Wśród naszych gości, którzy spędzili z nami dłuższy okres czasu, mamy wielu znakomitych działaczy politycznych, uczonych, artystów; szukali oni bezpośredniego zetknięcia się na zabawach, odczytach i przy pracy z masą robotniczą. To jest naszym zadaniem. To jest konieczne dla polityków i działaczy społecznych — tłumaczył mi przewodniczący *settlementu*.

Sam mówił po rosyjsku, bywał w koloniach tołstojowców i wskazał mi na portret Tołstoja, wiszący na szaczkowym miejscu. Wypadek zdarzył, że był w tych samych koloniach, co i ja, i znał tych samych ludzi... Właśnie gdy rozmawialiśmy o tych rzeczach, drzwi się otwarły i ku mojemu zdziwieniu pojawił się w nich p. Stanisław R., student uniwersytetu warszawskiego, kolega mego syna, który wraz z czterema innymi studentami zwiedzał Anglię na zaproszenie Stowarzyszenia Angielskich Studentów. Odtąd zwiedzaliśmy Toynbee Hall razem. Po kolacji prostej, skromnej, ale smacznej, przeszliśmy do sali „porad prawnych”. Była to zwykła, trochę brudnawa i ciemna klasa do zajęć szkolnych, zdaje się, rysownia. W poczekalni na ławkach szkolnych siedział już tłum interesantów czekających swej kolei. Wpuszczano za numerami. Przy stołach grupami siedziało kilku petentów i prawników, rozmawiając półgłosem. Zbliżyłem się do jednej grupy, aby dowiedzieć się, jakie sprawy są roztrząsane. Trafilem na sprawę mieszkaniową. To samo co u nas. Jakiś gruby pan, przyzwoicie ubrany, drobny urzędnik, chciał się pozbyć niedogodnego lokatora, chronionego ustawą mieszkaniową.

— Ma pan wszelkie moralne podstawy, ale prawnych żadnych... Musi pan czekać sposobności — wyniósł rezolucję adwokat.

Za drugim stołem zasiadła jakaś stara Żydówka z mężem. Żydówka podała się, że jest polskiej narodowości, ale kiedy spytałem ją, czy umie po polsku, potrząsnęła przecząco głową i powiedziała, że jej rodzice trochę umieli, lecz że ona urodziła się w Londynie i nigdy po polsku nie mówiła. Mąż jej, również Polak, ani słoweczka po polsku nie umiał. Starali się o poddaństwo angielskie, co uzyskać bardzo trudno. Adwokat zapisał wszystkie potrzebne mu szczegóły i kazał przyjść za parę dni. W trzeciej grupie roztrząsano jakąś sprawę podziału pieniędzy. Tu już był prawdziwy sąd, gdyż obie strony przytaczały swoje argumenty. W czwartej młoda, energiczna prawniczka rozważała z klientem sprawę rozwodową: żona uciekła od męża, potem wróciła, zabrała dzieci i znowu uciekła... Żąda od męża pieniędzy na utrzymanie dzieci. Mąż żąda zwrotu dzieci i płacić nie chce. Sprawa oprze się o sąd koronny.

Jednocześnie w Hallu odbywały się kursy wieczorne dla dorosłych, głównie angielskiego, historii, rachunków. Klasy rysunkowe, nauka śpiewów chóralnych oraz wciąż, aż do dziesiątej godziny, ruchów rytmicznych dla chłopców i dziewcząt, są bardzo uczęszczane. Późno wieczorem opuściliśmy zakład, pożegnani uprzejmym zaproszeniem na dłuższy kiedykolwiek pobyt.

#### Kopalnie węgla w Doncaster

Pociągiem pośpiesznym w cztery niespełna godziny przebiliśmy 200 km, oddzielających Londyn od miasta Doncaster w hrabstwie Yorkshire, gdzie znajdują się kopalnie, które mieliśmy zwiedzić. W hotelu znaleźliśmy się przed 12 w nocy. Powitał nas owa-  
cyjnie w hallu jakiś gruby gość, niezmiernie wesoły i rozmowny, zapewne pod wpływem *whisky-soda*. Mnie od razu zaczął nazywać „tatusiem”, a p. Czarnomskiego poklepał po ramieniu, jakby go znał ze dwadzieścia lat. Figura wprost z powieści Dickensa<sup>38</sup>. Hotelarz potrząsał głową, nic jednak nie przedsiębrał, żeby wesołość grubego jegomości zmniejszyć... Widocznie była to miejscowa „gruba ryba”. Wreszcie załatwiliśmy hotelowe formalności wpisując własnoręcznie do formularzy imienia, nazwiska, wieku itd. i znaleźliśmy się w swoim numerze<sup>39</sup>... Zimno jak w psiarni. Nie pomogły nawet małe pierzynki, narzucone na wierzch kołder, jak to tu we zwyczaju. Obudziłem się zziębnięty o 7 rano i daremnie starałem się znów zasnąć. Słońce wesoło przeświecało przez żaluzje, obiecując pogodny dzień. Punkt o wpół do dziesiątej, jak to było umówione, stanęliśmy w biurze The Bodsworth Main. P. Czarnomski wręczył służącemu polecający list naszego poselstwa. W chwilę potem wyszedł do nas wysoki, przystojny gentleman i przedstawił się nam jako mister Leonard C. Hodges, inżynier, któremu polecono zapoznać nas z kopalnią. Wyjaśniliśmy mu, o co nam właściwie chodzi. Kiwnął głową, wsadził nas do wspaniałego samochodu, do którego kierownicy sam zasiadł, i ruszyliśmy po równiutkiej jak stół wyasfaltowanej ulicy, a następnie po równie gładkiej, wycementowanej szosie. Miasto Doncaster, pamiętające podobno Cezara, niczym nie różni się od innych miast angielskich. Chyba tym, że zabytków ma mało, gdyż przed otwarciem kopalni węgla było zwykłym targowym, prowincjonalnym miasteczkiem. Dziś ma ze 100 000 mieszkańców, ładne ulice, bogate sklepy, wodociągi, tramwaje, omnibusy, elektryczność, gaz, prasę itd. Takich miast w Anglii setki...

Wyjeżdżamy poza miasto. Okolice przecięte licznymi drogami cementowanymi albo makadamizowanymi<sup>40</sup>. Wszędzie domy z ogródkami, ziemia doskonale uprawna, dużo szmaragdowych błoni, przeznaczonych przeważnie na rozmaitego rodzaju sporty. Słońce świeci i krajobraz z lekka sfalowany, powleczone liliową mgiełką, wygląda ślicznie. Tu i ówdzie na zakrętach błyska w zakłętym korycie rzeka Don<sup>41</sup>. Szybko zbliżamy się do wielkich, zionących kłęby czarnego dymu kominów fabrycznych. Po drodze mijamy szeregi szarych lub różowych domków.

— To są domy robotnicze. Obejrzymy je na końcu!... — mówi p. Hodges.

Już jesteśmy na kopalnianym dziedzińcu. Właśnie wychodzi z szycht zmiana robotnicza. Młodzi przeważnie ludzie, z twarzami umazanymi pyłem węglowym, w ubraniach brudnych i zniszczonych, często wylatanych, ale nigdzie nie widziałem łachmanów. Od-  
dają latarki i odchodzą grupami do domów.

— Szkoda, nie będziemy widzieli robotników przy pracy, gdyż to ostatnia dziś zmiana. Kopalnia nie pracuje cały dzień, lecz 15 godzin zaledwie... Nie mamy jeszcze po strajku dość zamówień i wagonów brak!... — wyjaśnia p. H.

Zwiedzamy zewnętrzne urządzenia: parowe i elektryczne motory, sortownię, olbrzymią płuczarnię, gdzie się węgiel myje, ładownię, gdzie się ładuje wprost do wagonów, gdyż kopalnia wcale węgla nie składa w hałdy, a skoro wagonów nie ma, przerywa robotę. W ten sposób unika się lasowania i kruszenia złogów węgla. Spuszczamy się pod

Robotnik

<sup>38</sup>*Dickens, Charles* (1812–1870) — angielski pisarz, jeden z czołowych twórców powieści społeczno-obyczajowej XIX w. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*numer* — tu: pokój hotelowy, opatrzone numerem. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*makadamizować* — pokrywać uwalowaną drogę z grubego tłucznia warstwą drobniejszego tłucznia i wywalcowywać ją; od nazwiska szkockiego wynalazcy tego typu dwuwarstwowych dróg, Johna McAdama. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*Don* — tu: rzeka w pln.-wsch. Anglii, nad którą leży miasto Doncaster; dopływ rzeki Ouse. [przypis edytorski]

ziemię. Odbierają od nas wszystko, co ma styczność z ogniem: zapalki, zapalniczki, papierosy... Na głowy wkładają nam hełmy skórzane, do rąk dają laski oraz lampki elektryczne z reflektorami. Wchodzimy na platformę do spuszczenia wagoników i zapadamy się z niesłychaną szybkością na dół. Chyżość jest tak wielka, że chwilami mam wrażenie, iż nie spadam, lecz wlatam. Z dołu wieje mocny, gorący wicher. Nie wiem, czy podróż trwała dwie minuty. Już jesteśmy na dnie, na głębokości 950 *yardów*<sup>42</sup> (około 800 m). Korytarz dość szeroki, obmurowany ceglami. Przez drzwi w jednej z bocznych ścian wchodzimy do pokoju inżyniera kierującego podziemnymi robotami. Mocny, szeroki w barach, prawie kwadratowy jegomość z twarzą wesołą i energiczną, robi na mnie wrażenie jakiegoś... „podziemnego marynarza”. Zaznajamiamy się; zdaje się, że po raz pierwszy widzi Polaków, ale już o nich wie z powodu konkurencji w czasie węglowego strajku. Widocznie rad ze znajomości, a ciekawość nasza pochlebia mu; ostrzega wszakże, że wędrówka będzie miejscami przykra. Obejmuje przewodnictwo naszej maluchnej wyprawy. Przesuwamy się wąskimi przejściami między rzędami wagoników, próżnych lub pełnych węgla, stojących na dwóch równoległych torach. Korytarz z wolna zwęża się, ale jest wciąż podmurowany z boków, a niski strop ma oparty na żelaznych szynach. Sucho, przewiewnie, powietrze dość czyste. Tu i tam głucho szumią elektryczne wentylatory — grube ich rury widnieją wzdłuż ścian. Posuwamy się dość szybko, pomimo licznych przeszkód. Już znikły podmurowania; między drewnianymi słupami, które rosły niedawno w lasach Polski, błyska czarny węgiel lasów, które porastały Anglię przed milionami lat, lub szarzej naga opoka. Strop, miejscami bardzo niski, podtrzymują drewniane belki lub stemple chropowate, groźne złomy występują miejscami z ciemności w świetle naszych latarek, jak potworne kły rozwierającej się przed nami paszczyki ziemi. Temperatura rośnie...

— 70 stopni Fahrenheita (25 Ré)<sup>43</sup> — mówi p. H.

Przykładam rękę do węglowego zbocza, ciepłe, jak ludzkie ciało.

— Czasami zdarzają się pożary, gdyż węgiel miejscami zawiera siarkę i sam się zapala. Mieliśmy pożar w czasie strajku, ale szczęśliwie ugasiliśmy w porę... Za to nie mamy żadnego kłopotu z wodą... Sucho!... — tłumaczy nasz przodownik...

Gorąco wzrasta, czuje się pewną duszność. Korytarz to wznosi się trochę w górę, to opada, posłuszny złożom węgla. Warstwa węgla dość cienka, nigdzie grubsza nad siedem stóp; w wielu miejscach schodzi do trzech, nawet do dwóch. Wtedy strop korytarza opuszcza się tak nisko, że idąc, zginamy się we dwoje, ale dalej warstwa znowu grubieje i wysokość korytarza odpowiednio rośnie. Tu i tam odchodzą boczne, opatrzone torami kolejowymi, w niektórych błyskają światelka i wychodzą stamtąd ciemne postacie patrolujących górników. Mijają nas w milczeniu. Przypominam sobie wesołe „szczęść Boże” naszych kopaczy. Prześlizgujemy się wąską szczeliną mimo<sup>44</sup> miejsca, gdzie zawalił się strop. Jeszcze rumowiska nie uprzątnięto. Docieramy do samego miejsca robót. Płachty grubego płótna zamykają tu i ówdzie korytarze. Zawieszają je, zostawiając otwarty przestrzał w górze, aby zmusić powietrze do krążenia w warstwach wyższych. Elektryczne wentylatory stoją tutaj, ale milczą, gdyż nie ma nikogo. Duszno i gorąco. Robotnicy pracują zwykle nago, w krótkich jedynie spodenkach. W jednej niszy widzę oparty o miąższ węglowy żelazny łom, na ziemi obok leży kilof i dwie szerokie łopaty żelazne.

— Kopiemy węgiel dotychczas ręcznie. Nasz węgiel jest kruchy!... — objaśnia przodownik i uderza kijem w wiszący złom węgla, który istotnie obsypuje się z szelestem. Dźwigam jednak nieznacznie łom i widzę, że jest ciężki i ostry. Posuwamy się jeszcze dalej naprzód; dochodzimy do miejsca, gdzie się węgiel wyklinia. Tu ciasno, duszno i bardzo gorąco. Szychta załamuje się pod prostym kątem... Idziemy nią czas jakiś, po czym zawracamy w przecznicę i zaczynamy wracać. Zrobiliśmy kilometr pod ziemią. Z prawdziwą przyjemnością słyszymy znowu warczenie wentylatora...

— Mamy doskonałą naturalną wentylację i mało gazów. W czasie strajku wentyle nie pracowały, a nie mieliśmy wypadku!... — mówi inżynier H. — Koni nie używamy pod ziemią już dawno, wszystko robi elektryczność.

<sup>42</sup>yard (ang.) — jard, anglosaska miara długości, równa ok. 0,9 m. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>70 stopni Fahrenheita (25 Ré) — temperatura podana w dawnych skalach termometrycznych (Fahrenheita, używanej w krajach anglosaskich, oraz Réaumura, często używanej w Europie Środkowej do początków XX w.); 70 °F = 21 °C, natomiast 25 °Ré = 31 °C. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>mimo (daw.) — obok. [przypis edytorski]

Znów bieleją po bokach murowane ściany i pierś swobodniej oddycha. Za chwilę stajemy na platformie i szalony pęd porywa nas ku górze. Tym razem wydaje mi się przeciwnie, że spadam...

Choć na dworze chmury przysłoniły słońce i pada deszcz, świat boży wygląda bądź co bądź o wiele weselej po tych czarnych otchłaniach.

#### The Bodsworth Main

Na śniadaniu u dyrektora otrzymaliśmy następujące wyjaśnienia: Kopalnia the Bodsworth Main zatrudnia 3500 robotników i jest jedną z kilku kopalni, położonych w pobliżu, tworzących jedno akcyjne towarzystwo Doncaster Coal Mining Association. Wszystkie razem kopalnie te zatrudniają około 20 000 robotników. Przed wojną i rewolucją rosyjską miały się bardzo dobrze. Produkowały pewien specjalny rodzaj węgla, który się zwał „putiłowski” i szedł całkowicie na użytek tej rosyjskiej fabryki<sup>45</sup>. Teraz, rozumie się, że ten eksport urwał się, gdyż putiłowskie fabryki leżą częściowo w gruzach lub stoją nieczynne. W czasie strajku węglowego rynki szwedzkie i norweskie zajęte zostały przez polski węgiel.

— Całe dla nas szczęście, iż węgiel ten jest tak lichej, że rynki te znowu do nas wracają! — powiedział mi otwarcie dyrektor. — Nie mamy jednak jeszcze dosyć zamówień, aby pracować w całej pełni. Robotnicy rzadko pracują wszystkie dni w tygodniu. Wprowadzamy akord: robotnicy łączą się w grupy od 5 do 10 osób i biorą na wyrobienie działki, za które płatni są od tony. Pracują 7 i pół godziny dziennie, zarabiają od 2 funtów 10 szylingów (100 zł) tygodniowo do 3, najwyżej 5 funtów tygodniowo.

Kobiety nie pracują wcale w kopalniach, ani pod ziemią, ani na powierzchni. Chłopcy od lat 14 są przyjmowani na roboty i zarabiają około 1 i pół funta tygodniowo (60 do 70 zł pol.). Widziałem tych wyrostków wracających z kopalni, czarnych i znużonych. Używani są do robót lżejszych, pomocniczych.

Po śniadaniu wsiadamy do samochodu i jedziemy przede wszystkim do biblioteki robotniczej. Pokój dość duży i widny, pośrodku stoły, na nich gazety, tygodniki, miesięczniki... Wśród książek w szafach uderzyła mnie przewaga dzieł z historii Anglii... Ich może najwięcej i są najbardziej zużyte, nie mniej w każdym razie niż powieści i poezje. Pewna ilość dzieł ekonomicznych stoi osobno, wśród nich *Kapitał* Marksa<sup>46</sup>, ale... znać, że nie bardzo czytany. Bibliotekę prowadzą sami robotnicy. Na biblioteki oraz inne urzędnictwa społeczne, jak kluby, teatry, towarzystwa, sportowe itd., daje pieniądze rząd z funduszu otrzymanego przez obłożenie każdej tony węgla podatkiem jednego penny<sup>47</sup>, co daje 500 000 funtów szterlingów rocznie. Podatek ten jest już pobierany pięć lat i będzie pobierany jeszcze pięć; on to pozwolił stworzyć w środowiskach robotniczych całą sieć instytucji kulturalnych! — tłumaczył nam Mr Hodges.

Pokazują nam piękny plac na football, tenis oraz doskonały cyklodrom<sup>48</sup>. Opodal widać nieduży domek zarządów sportowych. Sama biblioteka mieści się w wielkim Domu Ludowym, w którym prócz sali dla gry w bilard, szachy oraz domino jest wielka sala teatralna i taneczna. Właśnie na ścianie tej sali wisi wielkie ogłoszenie wzywające publiczność do udziału w balu mającym się tutaj odbyć za tydzień na rzecz jakiejś chrześcijańskiej organizacji filantropijnej. Sala może pomieścić 1200 ludzi. Pod sceną bardzo dowcipnie urządzone składowe krzesła. Sala wysoka, widna, ale bez galerii. Otwór dla projekcji kinematograficznych na parterze w ścianie, naprzeciw sceny. Wszystko bez przepychu, ale czyste, jasne i solidne.

Stąd jedziemy do Klubu Robotniczego, który znajduje się gdzie indziej i utrzymuje ze składek członkowskich. Ma członków 700. Mieści się w prywatnym domu, wynajętym. Dom bardzo piękny, z wielkimi lustrzanymi oknami przez całą ścianę, w cudownym

Robotnik, Praca, Pieniądz

Książka, Pieniądz

Spółcznik, Robotnik

<sup>45</sup>który się zwał „putiłowski” i szedł całkowicie na użytek tej rosyjskiej fabryki — mowa o rosyjskich Zakładach Putiłowskich w Petersburgu, wielkim zakładzie produkcji stali, maszyn i środków transportu, od 1868 będącym własnością przedsiębiorcy Nikołaja Putiłowa; na pocz. XX w. było to największe pod względem produkcji przedsiębiorstwo metalurgiczno-maszynowe w Rosji i trzecie co do wielkości w Europie; w 1922 zmieniono nazwę zakładów na Czerwony Putiłowiec, zaś w 1934 na obecną nazwę: Fabryka Kirowa. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>Marks, Karol (1818–1883) — niemiecki filozof i ekonomista, działacz rewolucyjny; jego najważniejsze dzieło to *Kapitał: krytyka ekonomii politycznej*. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>penny (ang.) — moneta o wartości jednego pensa. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>cyklodrom — owalny tor kolarski, miejsce wyścigów rowerowych. [przypis edytorski]

ogrodzie; ma kwaciarnię, oranżerię, gdzie ogrodnik oczyszczał właśnie z zimowych prochów winne latorośle... Dużo kwiatów; dzikie wino pnie się po ścianach, glicynie zwisają z balkonu... Na nasze spotkanie wychodzi gospodarz klubu, robotnik, wesoły, gruby pan, coś w rodzaju tego, który przywitał nas na wstępie w Doncaster. Wchodzimy do bufetu, gdzie stoi i siedzi gromadka robotników. Jedni grają w sali obok w bilard, inni w oszklonym wykuszu przy stolikach piją piwo i stukają dominem. Mają również bibliotekę i czytelnię. Urządzają zabawy i inne imprezy dochodowe, które wraz z dochodami ze sprzedaży trunków nie tylko pokrywają dość wysoką dzierżawę pałacu i ogrodu, lecz dają znaczną resztę, obracaną na zasiłek dla innych instytucji kulturalnych robotniczych. Nadwyżka ta sięga 500 funtów rocznie (22 000 zł). Przy klubie jest księgarnia. Projektują zamianę sąsiadującego z ogrodem zapuszczonego jaru na wielką pływalnię.

I Klub, i Dom Ludowy były otoczone całym szeregiem domów i ulic o jedностajnym, ale miłym wyglądem, wyciągniętych wśród pól i ogrodów długimi sznurami. Były to domy robotnicze. Od pierwszego rzutu oka dostrzec można różnicę w kształcie i typie rozmaitych kompleksów.

— Są stare, przedwojenne, i nowe. Od czasu wojny nasze towarzystwo wybudowało 4000 nowych domów. Każdy dom zazwyczaj ma ogródek, kwietnik przed domem i wazywnik oraz ptaszarnię za domem. Każdy dom zawiera zwykle dwa mieszkania 4-pokojowe, choć są domy jednomieszkaniowe z 6 i 7, nawet 8 pokojami, zależnie od wielkości rodzin i zamożności robotników! — objaśniał nam Mr Hodges, wioząc nas samochodem po gładko wycementowanych ulicach. — Przed wojną domek pojedynczy kosztował nas 250 funtów; oddawaliśmy je na własność robotnikom, którzy płacąc tygodniowo 6 szylingów (mniej niż pół funta), spłacali w ciągu 18 lat wartość domu kompanii i stawali się prawnymi posiadaczami domów. Obecnie koszt budowy wzrosły do 500 funtów i robotnicy nie są w stanie wypłacać odpowiednich sum. Przeszliśmy wyłącznie do systemu dzierżawnego. Robotnik za mieszkanie 4-pokojowe z łazienką i kuchenką płaci 15 szylingów tygodniowo, a bez łazienki 11 i pół szylinga tygodniowo. W czasie strajku nie płacili nic, obecnie muszą spłacać zaległości, wnosząc tygodniowo o pół renty więcej.

Poprosiłem, żeby mi pokazano mieszkanca najuboższe, średnie i najlepsze. Wszystkie były tego samego typu i zupełnie podobne do widzianych już przeze mnie w Londynie. Nieduża sionka, z niej wejście do największego pokoju, służącego zazwyczaj za jadalnię i bawialnię. Duży, ładny kominek, urządzone tak, że można w nim gotować na wstawionej pod płytki okap żelaznej kuchence. Pośrodku stół, wkoło krzesła i fotele, kredens z porcelaną i szkłem. W kilku mieszkaniach widziałem pianino. Wszędzie uderzała mnie ogromna ilość mebli, gracików, luster, sztychów i obrazów na ścianach, rozmaitych „cacek” na stolikach i półkach. Pokoje, w ogóle nieduże (3 × 3 lub 3,5 × 4 metry), wydawały się wskutek tego jeszcze ciaśniejsze, ale robiły wrażenie zamożności, nawet pewnego komfortu. Za to sypialnie, których bywało dwie i trzy, angielskim obyczajem świeciły nagimi ścianami i nie miały mebli. Po środku stało zazwyczaj jedno dwuosobowe łóżko i nic więcej; czasem z boku jakiś tapczanik, widocznie dla młodszych dzieci. Sypialnie różniami znacznie ustępowały jadalni. Dookoła łóżka ledwie można było przejść. Wszędzie w oknach firanki, kwiaty w doniczkach i w wazonikach. W większych mieszkaniach prócz łazienki była mała pralnia i zmywalnia dla naczyń z zawsze gorącą wodą, ogrzewaną przez kuchenne palenisko. Wszędzie, rozumie się, wodociągi, kanalizacja, elektryczność...

W paru wypadkach trafiliśmy właśnie na posiłek rodziny; z ciekawością rzuciłem okiem na stół: ryba, jarzyny, mięso, biały chleb, masło, ser... Nie były to bynajmniej rodziny najzamożniejsze. O jakimś odżywianiu się „kartoflanymi obierzynami” — trudno było nawet pomyśleć.

Kiedy teraz, pisząc te słowa, zastanawiam się nad wszystkim, co widziałem, dochodzę do przekonania, że różnice nasze z Anglią w produkcji węgla zachodzą głównie... w dziedzinie socjalnej. Węgiel mamy nie gorszy, wydobywamy go w podobny, a nieraz w lepszy sposób niż Anglicy, lecz sortujemy go i przewozimy — daleko gorzej. Przede wszystkim ilość siły w sortowniach angielskich o wiele jest większa i staranniejszy podział na gatunki węgla wcale nie składa się w złoza, lecz z sit idzie wprost do kolejowych wagonów. Staranniej również jest od naszego oczyszczany; kiedy mi pokazano odrzucone na bok, bezużyteczne śmiecie węglowe, ze zdziwieniem znalazłem wśród nich dużo kawałków węgla, prawda, że przerosniętego opoką, lecz u nas uchodzącego w handlu za węgiel

Dom, Robotnik, Pieniądz

„średniej wartości”. Brak zupełny kamieni w węglu angielskim podnosi ogromnie jego wartość ciepłodajną i czyni zeń towar pierwszorzędnej jakości. Na to, aby tych kamieni było mało, potrzebna jest mądra handlowa przezorność kierowników i bystre oko oraz zręczna ręka robotnika. Anglicy są dobrymi kupcami i dla doraźnego zysku nie poświęcają nigdy źródeł stałych dochodów, dlatego kamieni do węgla nie mieszają, a robotnik angielski, dobrze odżywiony, wypoczęty, wygodnie mieszkający i oddychający w czasie roboty możliwie czystym powietrzem, może dłużej od innych robotników zachować „bystrość oka i zręczność ręki!”. W tym też jest mądre i ludzkie wyrachowanie!...

## DWIE WIZYTY W NIEMCZECH

22 lutego 1927 r.

Uchodzimy za najlepszych kolejarzy w Europie. Podobno nasze pociągi nie spóźniają się, ale tym razem się spóźniły i całą godzinę przetrzymano nas w polu pod Poznaniem. Wielkopolska zawsze idzie śladem Europy. Pociągi w Belgii, Francji, Anglii, a nawet w Niemczech spóźniają się od czasu wojny, czy więc możemy być od nich gorsi?!

Pospieszny, którym jechałem, był prawie pusty, szczególnie wagon bezpośredniej komunikacji z Ostendą mało zawierał pasażerów. W Warszawie wsiadł jakiś pan z miną dyrektora teatru, wyjął „Głos Prawdy”<sup>49</sup> i zagłębił się w nim, co widząc, drugi pan, z miną dyrektora departamentu, odwrócił się doń ostentacyjnie plecami. Obaj wysiedli w Łodzi. Na ich miejsce wsiadł jakiś stary Żyd, chałcziarz: pewnie wiozł pieniądze, gdyż miał jedynie wypchaną teczkę, którą położył sobie pod głowę i bardzo się troszczył, czy aby przedział jest zamknięty. Ja widocznie wzbudziłem w nim zaufanie, gdyż pozwolił przytłumić światło i nawet wkrótce sam zachrapał. W Poznaniu wysiadł. Odtąd jechałem sam, nie tylko w przedziale, ale w całym wagonie. Jedynie w trzeciej klasie majaczyła jakaś para.

Obudzono mnie w Zbąszyniu<sup>50</sup>. Rewizja była uprzejma i względna, ale bądź co bądź, jak się okazało, najsurowsza na całej mej drodze... I słusznie: tam nie ma co przemycać, a paszport dyplomatyczny, jaki mnie za granicą chronił, tyle razy w Polsce był nadużywany!

Ciekawy byłem bardzo Niemiec. Nie widziałem ich od 1916 roku, kiedy to spędziłem kilka dni w Berlinie, jadąc do Lozanny na kongres narodowości uciskanych przez Rosję<sup>51</sup>; kiedy to po raz pierwszy przed Europą i światem całym postawiliśmy wraz z p. Łempickim Niepodległość Polski jako program Polaków.

Pamiętam, jakie przerażenie wywołało to wśród Niemców, Francuzów, Anglików. Natomiast rozmaite narody z Kaukazu, Krymu, Środkowej Azji, Turkiestanu, nawet z Mongolii, w baranich czapach i długich bekieszach<sup>52</sup>, padały nam w objęcia i również zaczęły żądać dla siebie niepodległości... Irlandczycy, którzy nie wiem z jakiego powodu znaleźli się również na tym kongresie, wyrażali nam swój entuzjazm i mocno wymyślali Anglii.

Powstał zamęt... Niemcy, którzy liczyli na zupełnie co innego, rozgniewali się i grozili, że nie pozwolą nam wrócić do Polski, jeżeli nie dodamy: „niepodległa Polska w połączeniu z państwem niemieckim”. Nie zgodziliśmy się na żadne, choćby najniewinniejsze dodatki do niepodległości i miałem z tego powodu przykrą przeprawę z niemieckim dyplomatycznym agentem, przydzielonym jeszcze w Warszawie do nas. Odtąd zaczęły się prześladowania mnie przez Niemców, z początku ukryte, a następnie jawne.

W powrotnej drodze przy rewizji rozbierano mnie do naga, a jednak zdołałem przewieźć sprawozdania ze zjazdu i mowę Łempickiego, napisane drobnitko na cieniutkiej bibułce.

<sup>49</sup> „Głos Prawdy” — czasopismo społeczno-polityczne ukazujące się w okresie II Rzeczypospolitej. [przypis edytorski]

<sup>50</sup> Zbąszyn — ob. Zbąszyń, miasto w woj. wielkopolskim; w okresie międzywojennym graniczna stacja kolejowa Polski. [przypis edytorski]

<sup>51</sup> kongres narodowości uciskanych przez Rosję — III konferencja narodowości uciskanych przez Rosję, zebrana 27–30 czerwca 1916 w szwajcarskiej Lozannie. [przypis edytorski]

<sup>52</sup> bekieszka (z węg.) — rodzaj długiego płaszcza podszytego futrem, szamerowanego i zapinanego na pętlę z ozdobnego sznura. [przypis edytorski]

Przypominam sobie to wszystko, jadąc przez Niemcy i przyglądając się ośnieżonym z lekka polom z okien polskiego wagonu, wybudowanego już w niepodległej Polsce przez firmę Lilpop, Rau i Loewenstein (wagon wcale nie gorszy od zagranicznych). Jakaż szalona zmiana na polach w porównaniu z wojennymi czasami!... Pola, podówczas zachwaszczone i źle zaorane niewprawnymi rękami kobiet — znowu przedziwnie, miłośniczo uprawne... Znow widzę wszędzie gromady mężczyzn, tęgich, zdrowych, dobrze odżywionych i bardzo pewnych siebie, jakich wówczas w środkowych Niemczech nie spotykało się wcale, chyba w mundurach, w wojskowych pociągach, przebiegających kraj ze wschodu na zachód lub odwrotnie. Zniknęły gromady obdartych, bosych kobiet, dzieci, starców, jakie wówczas często spotykałem na drogach i pomniejszych stacjach... Wszędzie dobrobyt dawny i dawny rubaszny, z byle czego, śmiech...

Wojna

Zapomniały Niemcy o dniach cierpienia i porażki... Miasta oświetlone, ożywione, ruch wszędzie wielki, pociągi pełne... Ale głównie uderzyło mnie *budownictwo*. Nie mówię o Berlinie, gdzie, jak wiadomo, w czasie złośliwej dewaluacji marki powstały całe dzielnice nowych domów, ale nie mijalem miasta i miasteczka, gdzieby nie białą rzędy świeżutkich budowli... Brzydkie, szaro-czerwone (dużo wśród nich cemento-betonowych), ale liczne i, jak mi mówiono, wygodne, współcześnie urządzone i zaopatrzone, tanie, sprzedawane przez koncesjonowane spółki budowlane ludziom niezamożnym, inteligencji pracującej oraz robotnikom. Niemcy roją się od takich domów, a ulice miast, pewnie na skutek tego, roją się od gromad tęgich, rumianych, wesołych dzieciaków...

Niemiec, Państwo,  
Nacjonalizm

Praca skrętna, zabiegliwa wszędzie wre, zamożność rzuca się w oczy... Ale wraz z nią wróciła dawna buta i tępota... Zniknęły uduchowione twarze cierpiących w czasie wojny i zaraz po wojnie Niemców... A kiedy znalazłem się w Westfalii, gdy pociąg nasz przebiegał mimo łyskających krwawą łuną wulkanów Kruppa<sup>53</sup>, kiedy ujrzałem ten nieustanny wysiłek jedną myślą opętanych milionów i przypomniałem sobie niedawną mowę Westarpa<sup>54</sup> — ogarnęła mnie groza. Czyż niezbędnie konieczny jest dla ucłowieczenia Niemców drugi Grunwald? I czyż ten Grunwald, jak za czasów Jagiełły, znowu spadnie na barki naszej Ojczyzny?!...

14 września 1930 r.

Los zdarzył, że 14 bieżącego miesiąca, a więc w niedzielę wyborczą, znalazłem się w Berlinie. Rozumie się, że byłem niezmiernie ciekawy przebiegu głosowania. Zapowiedano gwałtowne starcia między socjalistami i hitlerowcami.

Polityka

— Może nawet będą... barykady! — mówiono tajemniczo w sobotę.

Późnym wieczorem zwały nas do okien dźwięki trąb i straszliwe wrzaski: „Hitler!... Hitler!... *Hoch!*...<sup>55</sup>”. Środkiem ulicy w wielkim ciężarowym samochodzie przejeżdżała gromada ludzi, machając pochodniami i białymi sztandarami z czarną swastyką... Na przedzie orkiestra dęła usilnie w wielkie, mosiężne trąby i waliła w bębny... Przechodnie na trotuarach zatrzymywali się na chwilę, patrzyli w stronę samochodu, po czym spokojnie szli dalej. Za samochodem biegły tłumy chłopaków i chwytali rozrzucone ulotki.

Nazajutrz wstałem wcześniej i zaraz otworzyłem okno. W nocy spadł deszcz, bruk był wilgotny, a nad dachami ciężkich, ciemnych domów płynęły szare chmury. Powietrze wypełnione było zgnitym zapachem i przytłumionym gwarem wielkiego miasta. Daremnie nadstawałem uszu: nie usłyszałem ani nie zobaczyłem nic szczególnego.

— To pewnie tutaj tylko, bo i dzielnica zamożna... spokojna... Zupełnie co innego będzie w Moabicie, gdzie mieszkają robotnicy, albo na przedmieściu Stieglitz, gdzie panują hitlerowcy!... — tłumaczono nam.

Pojechaliśmy więc otwartym samochodem do Moabitu.

W miarę oddalania się od środka miasta zaczęły pojawiać się coraz liczniejsze oznaki odbywających się wyborów. Tu i ówdzie zamajaczyły flagi i ogłoszenia, na chodnikach i jezdniach zabielały ćwiartki porzuconych ulotek.

Polityka

<sup>53</sup>*łyskających krwawą łuną wulkanów Kruppa* — wielkich niemieckich zakładów zbrojeniowych koncernu Krupp AG w Essen. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*Westarp, Kuno von* (1864–1945) — niemiecki polityk konserwatywny, urodzony w dawnej Prowincji Poznańskiej królestwa Prus, członek Reichstagu (parlamentu niemieckiego), jeden z założycieli i od 1926 przewodniczący Niemieckiej Narodowej Partii Ludowej (DNVP); domagał się rewizji traktatu wersalskiego, kwestionował ustalone w nim niemieckie granice wschodnie. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*Hoch!*... (niem.) — część okrzyku *hoch lebe*: niech żyje, wiwat. [przypis edytorski]

— Mało ich w tym roku. Dawniej ulice białeły od nich jak od śniegu... Obecnie kryzys!... Oszczędności!... Dlatego pewnie i plakatów mało... — objaśnił nasz przewodnik.

Nareszcie jest coś: w jednej z bocznych ulic bije czerwona łuna od flag, emblematów, napisów, wstęg... Widok dość malowniczy... Miejscami szerokie płachty czerwonej tkaniny przeciągnięte z jednej strony ulicy na drugą... Na nich bolszewickie gwiazdy, sierpy, młoty i napisy KPD<sup>56</sup>.

— Aha, to tu! Komuniści!... Liczba cztery to numer ich listy! Widzi pan portret Lenina, a obok polecenie: „*Wählt Sowjetdeutschland!*” Głosuj na sowieckie Niemcy! Przecież to jawne wezwanie do przewrotu!... Czy nie bezczelność!?

Takich wezwań, portretów Lenina, sierpów, młotów, gwiazd, wychwalań Rosji Sowieckiej wszędzie pełno...

Przed redakcją „*Rothe Fahne*”<sup>57</sup> parę tysięcy ludzi słucha w skupieniu gwałtownych przemówień, roznoszonych po obszernym placu z okien pierwszego piętra przez wielkie głośniki... Mowa mocnym echem odbija się od ciężkich murów wielkiego teatru ludowego Volks Bühne.

„Tu panują komuniści! Socjaldemokraci nie śmią tu zaglądać!”

Istotnie socjaldemokratycznych plakatów prawie nie widać. Natrafimy jednak trochę dalej na ulicę, gdzie afisze i chorągwie komunistyczne mieszają się z socjaldemokratycznymi, a nawet w jednej z ulic widzimy prawie wyłącznie czerwień znaczoną literami SDP<sup>58</sup> oraz numerem jeden. Dekoracje jednak są o wiele mniej sute niż u komunistów:

— Nic dziwnego: ci dostają na wybory pieniądze z Rosji, a socjaldemokraci nie dostają znikąd i mają na karku trzy miliony bezrobotnych!...

— Którym komuniści obiecują natychmiastowy chleb i pracę za oddane na siebie kartki i głosy! — dodał jeden z panów.

— Jak w Rosji, gdzie do tej pory głodują, dostając odwrotnie: chleb za kartkami<sup>59</sup>...

— Nie wierzą!... Nikomu nie wierzą, prócz tym, co dają im dobrowolnie pieniądze!... Uważają to za dowód ideowości i braterskiej bezinteresowności bolszewików!

Dostrzegamy w górze samolot, z którego sypią się na miasto obłoczki przez nikogo zresztą nieczytanych ulotek.

— Czy to też komuniści? — pytam.

— Nie, to socjaldemokraci!

W Moabicie miało się wrażenie, że te tylko dwie partie walczą ze sobą. Innych nie było widać. Wśród kilku spotykanych samochodów agitacyjnych, pełnych młodych ludzi i dziewcząt z chorągwiemi, zaledwie jeden miał barwy centrowe, białe-żółto-czerwone. Nawet hitlerowców było mało: na jednym wozie jechali triumfalnie, ryczeli i wygrażali pięściami na wszystkie strony, a drugi stał otoczony przez policję, na wpół opróżniony z manifestantów, których przesadzano gwałtownie do samochodów policyjnych. Widziałem też sporo aresztowanych komunistów, chociaż w ogóle porządek nie był nigdzie poważnie naruszony. Ogromna ilość rozrzuconej po całym mieście policji wszystko trzymała w żelaznych karchach. Za każdym wozem agitacyjnym podążał wóz policyjny z ukrytymi w siedzeniach karabinami maszynowymi. Przed każdym lokalem wyborczym posterunek policyjny nie pozwalał nikomu agitować, zatrzymywać się na dłużej, nawet rozdawać ulotek. Ponieważ takich punktów wyborczych było bardzo dużo, tworzyły się ogonki z głosujących i łatwo było utrzymać porządek. Jediną oznaką, po której poznać można było punkty wyborcze, były grupki ludzi z transparentami numerów list wyborczych na piersiach i plecach.

Stali spokojnie obok siebie i nawet przyjacielsko rozmawiali ze sobą.

Polityka

<sup>56</sup>KPD (niem. *Kommunistische Partei Deutschlands*) — Komunistyczna Partia Niemiec; założona w 1918, po objęciu władzy przez nazistów zdelegalizowana (1933); po zakończeniu II wojny światowej ponownie zalegalizowana; w radzieckiej strefie okupacyjnej w 1946 połączona z SPD w Socjalistyczną Partię Jedności Niemiec, w Republice Federalnej Niemiec zdelegalizowana w 1956. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>„*Die Rothe Fahne*” (niem.: Czerwony Sztandar) — niemiecka gazeta lewicowa założona w 1876; od 1920 centralny organ prasowy Komunistycznej Partii Niemiec, w 1933 zakazana przez władze nazistowskie, rozpowszechniana nielegalnie. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>SDP (niem. *Sozialdemokratische Partei Deutschlands*) — Socjaldemokratyczna Partia Niemiec; założona w 1875, najstarsza z działających w Niemczech partia polityczna, mająca profil centrolewicowy. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>chleb za kartkami — chleb na kartki; chleb wydzielany wg ustalonych racji. [przypis edytorski]

Na ostatku udaliśmy się do dzielnicy Stieglitz, gdzie mieli panować hitlerowcy, ale spokój tam znaleźliśmy zupełny. Hitlerowców było mniej niż w Moabicie, a chorągwi i transparentów wcale nie było. W jednym miejscu tylko spokojnie wisały obok siebie biała hitlerowska chorągiew z czarną swastyką i biało-żółto-czerwona — centrowa, pod nimi na trotuarze leżała garsteczka ulotek.

Na ulicach żadnego ożywienia, zwykły, leniwy, świąteczny ruch i przyciszona świątecznie uliczna gędzba... Widocznie hitlerowcy tak tu byli pewni zwycięstwa, że uważali za wskazane oszczędzić sobie trudu i wydatków... Ale kiedyśmy już wracali, ulica jakby nagle zadrgała od nieoczekiwanych dźwięków: środkiem jezdni pędziło na motocyklu dwóch ludzi z czerwonym sztandarem socjaldemokracji, a w dali za nimi toczył się rozśpiewany i ukwiecony takimiż chorągiewami automobil pełen robotników... Zatrzymaliśmy nasz automobil w oczekiwaniu, co będzie. Na chodnikach przechodnie również zatrzymali się, kierując oczy na prowokujące w tej dzielnicy zjawisko, lecz szybko ruszyli spokojnie dalej, gdyż tuż za samochodem śmiały się manifestantów podążał inny wóz pełen błękitnych, policyjnych mundurów.

A jednak, a jednak opowiadali mi wiarogodni świadkowie o olbrzymim zniszczeniu, jakie dokonane zostało na ulicach Berlina w czasie rewolucji 1918 roku i sam widziałem na wielu gmachach niezatarte jeszcze ślady kul od staczanych tu bojów...

Krótką jest jednak pamięć ludzka: w tym samym dniu, kiedy tak spokojnie i groteskowo zabawiał się Berlin swymi wyborami, padło w Niemczech 14 milionów głosów za partiami dążącymi do nowej wojny i nowych rewolucji...<sup>60</sup> A jeszcze znamiennejszą rzeczą jest okoliczność, że znaczna ilość z tych głosów była oddana przez niemieckie kobiety... Już zapomniały one o łzach wylanych na mogiłach poległych i nad kołyskami kalekich, niedonoszonych z głodu dzieci...

Wojna, Polityka, Kobieta

---

<sup>60</sup>padło w Niemczech 14 milionów głosów za partiami dążącymi do nowej wojny i nowych rewolucji... — w niemieckich wyborach parlamentarnych w 1930 oddano ogółem 35 mln głosów, w tym: na socjaldemokratyczną partię SPD 8,6 mln głosów, na nazistowską NSDAP 6,4 mln głosów, na komunistyczną KPD 4,6 mln głosów, na katolicką Niemiecką Partię Centrum 4,1 mln głosów, na narodowo-konserwatywną DNVP 2,5 mln głosów, narodowo-liberalną DVP 1,6 mln głosów; po wyborach NSDAP zwiększyła swój udział z 12 miejsc do 107 miejsc w liczącym 577 posłów parlamencie, zaś KPD z 54 miejsc do 77 miejsc. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisałeś w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sieroszewski-wrazenia-z-anglii>

Tekst opracowany na podstawie: Wacław Sieroszewski, *Wrażenia z Anglii*, Warszawa : "Rój", [1931].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie w egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6767-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).